

Post(a) Romana - Warto ryzykować

Teraz niemal każdy robi zdjęcia. Nawet nie trzeba aparatu, wystarczy smartfon. Setki zdjęć, których potem nie warto oglądać. No i te nieszczęsne fotki z „egzotycznych” wypraw, które każe nam się po wakacjach bacznie śledzić na ekranach komputerów – zawsze najciekawsze dla samych autorów, nic niemówiące postronnym widzom. Po prostu nudne.

Dlatego trochę bałem się lektury tej dziwnej książki, której tytuł przypomina napisy na rumuńskich znaczkach pocztowych. Na pierwszy rzut oka nieciekawa, bladezielona okładka: u góry zdjęcie klamki samochodowej starego typu, żadnych liter. Wewnątrz dużo jakby wyblakłych nieco, naddartych, pogniecionych fotografii. Na nich samochód, jacyś biednie ubrani ludzie na tle swojskiego krajobrazu, choć ich rysy czasem jakoś obce, śniada cera, dziwny kapelusz, wielkie kolczyki w uchu. Bawoły, owce, snopki, polna droga, anioły na starych freskach, jakieś rozmyte cienie... Niby nic specjalnego. I tekst – a właściwie tylko pojedyncze notatki, luźno powiązane ze sobą nawzajem i ze zdjęciami, impresyjne, czasem żartobliwe, czasem żarliwe i serio. Nie komentują wprost fotografii. Obrazy i słowa nie uzupełniają się, zachowują odrębność, a jednak tworzą ze sobą jakąś trudno pochwytaną, spójną całość.

To opowieść – złożona z dwu tworzyw – o wakacjach. O podróży przez Maramuresz, Bukowinę i Siedmiogród. Czyli najpierw drogami i bezdrożami dość dzikiej (jak można przeczytać w internetowych przewodnikach) części Rumunii, potem – przez krainę Drakuli. Prywatny album, nie wiedzieć czemu wydany drukiem? A może sprytny zabieg marketingowy rumuńskiego ministerstwa turystyki, żeby zachęcić Polaków do odwiedzenia malowniczego kraju, który nadal omijamy szerokim łukiem, przekonani o chronicznej biedzie i postkomunistycznej bylejąkości, pamiętając „rumuńskich” żebraków na naszych ulicach kilkanaście lat temu? Robota, którą wykonał Stasiuk, nie wystarczyła?

Otóż – to nie tak. Troje przyjaciół, Bogusław Bujala (autor tekstów, łódzki poeta) oraz Maciej (autor zdjęć) i Tamara Rawlukowie, wyruszyli w podróż nie po to, żeby zwiedzać, żeby zaliczać kolejne turystyczne cele, a po powrocie wodzić palcem po mapie, wymieniać coraz to nowe miejscowości z komentarzem: tam byliśmy. Wybrali się zielonym volkswagenem, model Westfalia, rocznik 1973 (zatem późnohippisowskim ogórkiem; to jego drzwi i klamka są, jak można się domyślać, na okładce książki), żeby nieśpiesznie poddawać się kaprysom wędrowania bez celu, żeby – nazwijmy to wprost – kontemplować. „Post(a) Romana” (tytuł pojawia się dopiero po otwarciu „samochodowej” okładki) jest opowieścią o spotkaniu z innością, która czasem zaskakuje, jak powinna zaskakiwać inność, a czasem okazuje się niezwykle swojska i banalna. Podróżnicy (daleko im – na szczęście, bo inaczej byłoby nudno – do turystów) nie prowadzą nas od miejsca do miejsca, od nazwy do nazwy (tych wyjątkowo tu mało, gdyż są w istocie nieważne), ale od doświadczenia do doświadczenia. Zawsze punktem wyjścia jest baczna obserwacja, jakiś drobiazg. A punktem dojścia? No właśnie: czasem po prostu i tylko zdziwienie (rzadziej, choć też się zdarza, rozczarowanie), czasem zaś uchwycenie jakiegoś głębszego sensu, który jednak trudno nazwać i tą nazwą w zapiskach przyszpilić.

Chciałoby się o tej książce nie tyle opowiadać, a już broń Boże ją interpretować (bo jak wyrazić wszystkie znaczenia w zasadzie poetyckich zapisków? jak artystycznych zdjęć?), co cytować, bo a nuż jakieś spostrzeżenie przyda się na własny użytek. Zastanawiali się Państwo nad mechanizmem zapamiętywania, choćby nawet tych drobnych, wakacyjnych zdarzeń? No to proszę: „Pamięć rozsiana jest nierównomiernie. Szczególnie w czasie podróży, a może i w ogóle.” (s. 32). Albo: jak oswoić dziwność świata? Życzliwym humorem i dystansem: „Oto idziemy dalej drogą, ale już

wioskową, zakurzoną. Jest rok 1920 - a przynajmniej wszystko na to wskazuje. Co widzimy? - bednarza. Siedzi sobie w strużynach, czerstwy, uśmiechnięty gość, na bosaka, w stroju typu vintage. Cały jego warsztat to ława, pień do opierania nogi i starożytny przyrząd z trzech belek. Właśnie struga klepki do maselnicy." (s. 38). Albo, gdzie indziej: „Małe miasto. Tak małe, że nie zmieściły się w nim arbuzy. Przynajmniej tego dnia, kiedy otwierano festiwal śpiewaczy. Zresztą po co arbuzy na festiwalu. Chciały zatem, czy nie chciały - za rzekę poszły." (s. 52). Jak oswoić banalną codzienność, jak nazwać zaskakującą swojskość, a może raczej: jak zapisać wzruszającą i oczywistą empatię z ludźmi, których się spotyka? Proszę: „Takie wioski są jak powrót do dzieciństwa. Kobiety nabierają wody prosto z rzeki. Mają już wdowi garb. Pewnie wieczorem będą myć swoich małych hultajów w blaszance. Przed snem zawsze to samo: zabawa w pospolite ruszenie - idą w ruch leszczynowe witki, a muchy niech się gonią po podwórku. Niech się wietrzą. A nie tu po izbie." (s. 67).

„Post(a) Romana” to niepowtarzalny eksperyment. Do powolnego smakowania (służy temu w pewnej mierze i sam jej kształt edytorski, nieco meandryczny, bowiem niektóre zdjęcia otwierają się nagle, tworząc większe całości, a przesłaniając jakoś tekst, wchodząc weń, rozrywając). Niewiele dowiemy się z niej o Rumunii, nie jest bowiem przewodnikiem, lecz intrygującym zapisem spotkania z obcym-a jednak-naszym światem, ale też spotkania ze sobą samym. Najszlachetniejsze all inclusive.

Tomasz Cieślak

Bogusław Bujala, Maciej Rawluk, Tamara Rawluk, „Post(a) Romana”, Wydawnictwo Byłobędzie, [b.m.r.].

Foto: Maciej Rawluk